Rok 1898. Lwów, dnia 29. sierpnia. Nr. 34.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

ADAM KRAJEWSKI

AMOR VIXIT.

Nowela.

Ciąg dalszy.

Złą i zadąsaną była Malwina, gdy ją Albin opuścił. Nie takim pragnęła go zobaczyć u stóp swoich, dając mu sam na sam schadzkę u siebie w domu. Sądziła, że będzie mieć do czynienia z bohaterem, który przypadłszy do niej na skrzydłach płomiennej i niepohamowanej miłości, złamie opór jakikolwiek z jej strony. Tymczasem zjawił się jej zwyczajny salonowiec, dający się zbić z tropu w oka mgnieniu jej dowcipowi i wyrafinowaniu. Była ona Albinem istotnie zajętą i sądząc po pierwszem widzeniu się, po dalszych próbach zbliżenia się do niej, gdy napisał ów list, wyobrażała sobie, że z człowiekiem takim nie liczącym, się z nikim i z niczem będzie się mogła wdać w awanturkę miłosną, któraby jej uprzyjemniała nudę długich tygodni postu. Zniechęcenie odmalowało się na jej twarzy, gdy pomyślała, jak Albin zmięszał się na na samo wspomnienie żony, jak pobladł na myśl, że mogłaby żądać od niego rozłąki z Niną.

A więc nie kochał jej, kłamał, chciał być tylko kochanym, a sam do niczego się nie zobowiązywał. Czegoż tedy od niej, od Malwiny żądał? pieszczot miłosnych tylko, bo serca, choć się na nie powoływał, daćby jej nie mógł, dopóki w niem inna — żona panowała. Malwina na wspomnienie tego czuła się śmiertelnie obrażoną i ciemny rumieniec wystąpił na jej bladą, białą jak alabaster, twarzyczkę. Odczuła podwójne upokorzenie: raz, że Albin obiecywał sobie łatwą z nią miłostkę. a dalej, że najwyraźniej podporządkował ją drugiej kobiecie, choć wyznając jej miłość, tem samem serce jego dla tamtej słabiej uderzać musiało. Co miała teraz uczynić? Puścić Albinowi płazem tę nową obelgę, udać, że to nigdy nie było i nie widzieć go więcej, nie zemścić się? — Każda inna kobieta byłaby może tak zrobiła, ale nie Malwina. Duma jej i samolubstwo zostały podrażnione do najwyższego stopnia. Gdyby umiała była płakać, byłaby się serdecznie rozszlochała i toby jej ulgę przyniosło; niestety w jej charakterze niebyło nic ze sentymentalizmu, nic z tej kobiecości, która potrafi przeboleć i przebaczyć. Był to demon wcielony, samolubny do ostatnich granic i nieznoszący panowania niczyjego obok siebie.

Przechadzała się tam i napowrót po saloniku z brwiami chmurnie nad oczyma ściągniętemi i myślała nad tem, co począć. Gdybyż jeszcze nie ta chwila słabości, w której pozwoliła się Albinowi uścisnąć i pocałować?! Gdyby nie to przynajmniej?! — Pasje ją brały na wspomnienie tego, że jeżeli się wszystko między nią i Albinem skończyło, on będzie mógł sobie powiedzieć: „pieściłem i całowałem tę dumną Malwinę“. — A może kiedyś i Ninie się do tego przyzna?

— To się tak zakończyć nie może — mruknęła sama do siebie przystając — nie może! — dodała głośniej, tupnąwszy nóżką z pogardą. — Nie dam się pobić tej głupiej gęsi, nie dam! — Rzucę go do nóg mych, jak robaka, wyrzucę ją z jego serca, choćbym się sama upokorzyć miała!

Ktoby ją w tej chwili zobaczył, nie poznałby w Malwinie tej pięknej, dystyngowanej dziewicy, imponującej każdemu na parkiecie balowej sali Twarz oblana rumieńcem szkarłatnym, usta wydęte zemstą, dyszącą w jej łonie, brwi ściągnięte nad oczyma, czyniły ją raczej podobną do groźnej Junony niż do słodkiej, rozkosznej Wenus, jaką była niedawno jeszcze przy boku Albina. Gdyby ją Albin w tej chwili zobaczył, a porównał do swej niewinnej, uśmiechniętej Niny, łagodnej i wyrozumiałej, byłby zapewne nie miał dwu zdań o tem, do której się zwrócić i przy której na zawsze pozostać. Niestety nie widział jej; w jego wyobraźni i w jego myślach stała ona zawsze takim aniołem, jak wówczas, gdy mu wsiadając do karety po balu, całusa ręką rzuciła i taką, jaką ją miał przed godziną przy swoim boku.

Malwina dobrze wiedziała, że choćby nie sam, — w co jednak nie wierzyła — to na jej wezwanie z pewnością się stawi, i w zawziętości swej ani jej przez myśl nie przeszło, aby miała zerwać ten nieszczęsny stosunek. Zemścić się musiała.

Było już późno, a ani jej się marzyło o udaniu się na spoczynek. Służba nie mogąc się doczekać dzwonka pani, parę razy przez lekko uchylone drzwi zaglądała, co Malwina porabia, a czego ona zajęta myślami o zemście nad Albinem, nawet nie zauważyła. Siedziała jak kamień na kozetce i dumała.

Odgłos kroków w przedpokoju i szelest sukni przerwał jej myśli. Szeroko otwarte oczy zwróciła na wchodzącą i przetarła powieki, ażeby się przekonać, czy nie śni przypadkiem. Ale nie śniła. Była to ciotka, której się tak rychłego powrotu nie spodziewała, miała bowiem dopiero za tydzień powrócić, a Malwina zamiast się uradować powrotem ciotki, lub przynajmniej zapytać o przyczynę tak nagłego powrotu, złą była, bo przybycie starej, moralizującej panny i niejako opiekunki jej, nie tylko krzyżowało jej plany, ale mogło sparaliżować zupełnie jej zemstę nad Albinem. Bardzo jej to było nie na rękę.

— Zadziwia cię moja kochana — rzekła ciotka — mój tak rychły powrót; a no, nie ma co na wsi robić. Wszystko tam w porządku, a nudy okropne, więc wróciłam.

Malwina nic na to nie powiedziała.

— Tyś jeszcze nie w łóżku? — zapytała stara — późno już tak, że sądziłam, iż się już dziś nie zobaczymy.

— Spać mi się nie chce — odparła Malwina — nie wiedziałam nawet, że tak późno, — ach! - zawołała patrząc na zegar — to już jedenasta! Jak ten czas biegnie.

— Jużeś po herbacie? — zapytała ciotka znowu.

Teraz sobie Malwina dopiero przypomniała, że nawet herbaty nie kazała sobie podawać, zajęta cała myślami o Albinie i o dzisiejszym wieczorze.

— Nie — odpowiedziała — jeżeli cioteczka chce, każę podać — i posunęła rękę do dzwonka.

— Ależ nie potrzeba — przerwała jej ciotka — ja się sama koło tego zakrzątnę — i wyszła do kuchni.

Gdyby nie grzeczność względem ciotki, byłaby Malwina zaraz teraz odeszła do swej sypialni. Zbyt świeże jeszcze owładały nią wrażenia, ażeby ciotka nie miała z jej oczu wyczytać, że coś tu zaszło przed niewielu godzinami. Prędzejby się wszystkiego spodziewała, niż jej powrotu. Siadła więc i czekała cierpliwie, układając twarz, do obojętnego, swobodnego wyrazu.

Niebawem weszła ciotka do saloniku, ale w oczach jej widać było wielką zmianę. Łagodne jej, poczciwe rysy, przybrały wyraz surowej powagi. Zacisnęła wąskie usta, jakby chciała je do milczenia przymusić i raz tylko badawczem spojrzeniem obrzuciła siostrzenicę.

Malwina zauważyła to spojrzenie, Przyjmując u siebie Albina, wierzyła w dyskrecję służby, która nie miała nic lepszego do roboty, jak zaraportować swe spostrzeżenie „starszej pani", jak ciotkę nazywano.

Gdy służąca odeszła, ciotka między jednym a drugim haustem spojrzała znowu na Malwinę i stawiając filiżankę na stoliku, zapytała wprost:

— Był dziś kto u ciebie z wizytą?

— Był... odparła Malwina obojętnie, popijając herbatę.

— Czy wolno spytać, kto taki? — ciągnęła dalej starsza pani.

Malwina zżymnęła ramionami na tę widoczną indagację ze strony ciotki, która u niej na łasce prawie była.

— Nie odpowiadasz mi, Malwinko, więc się sama muszę domyśleć. Pan... Albin... wszak prawda?

— No tak! był pan Albin... i cóż w tem tak dziwnego?

— Nic dziwnego... dla ciebie być może, dla mnie jednak...

— Ach cóż to może cioteczce szkodzić, skoro mnie nie szkodzi? — z ironicznym, zwykłym sobie uśmiechem przerwała jej Malwina. — I któż to — dodała — tak prędko ciocię uwiadomił o bytności pana Albina u nas?

— U ciebie — poprawiła ciotka — u nas on nie bywa.

— Jakto u nas nie bywa — zadąsana na dobre już odezwała się Malwina. — Czy masz mu co do zarzucenia?

— O tem po tem? — odrzekła również podrażniona już ciotka — że mnie o wizycie uwiadomiono, nie masz się czego dziwić. Sądzę, że nie robiłaś niczego takiego, czegobyś się wstydzić potrzebowała, ani też służby do tajemnicy nie upominałaś... Czy tak?

Malwina podniosła się z miejsca urażona.

— Cioteczko — zawołała gniewnie — zapominasz się, że nie jestem małą dziewczynką, twej opiece oddaną, lecz kobietą pełnoletnią, która odpowiada za swe czyny.

I ciotka powstała na te słowa, a usta jej zadrgały gniewem, który w piersi swej tłumiła aż dotąd. Nie spodziewała się tego po dość dotychczas uległej siostrzenicy, ażeby jej tak jak teraz uczuć dawała, że nie potrzebuje jej opieki i że jej łaskę robi, trzymając ją u siebie, jak sługę na łaskawym chlebie. Poczciwe serce starej panny oburzyło się na niewdzięczną siostrzenicę, której od lat najmłodszych matkę zastępywała i teraz jeszcze poczuwała się bądź co bądź do rozciągania opieki swej nad tą, która z wiedzą, czy bezwiednie. stała nad brzegiem przepaści. I ta myśl ostatnia, prawami krwi podyktowana, zmitygowała jej gniew słuszny. Zapanowała nad sobą, aby nie wybuchnąć i nie sprowadzić rozwiązania, któreby ją raz na zawsze od Malwiny odsunęło i pozostawiło dziewczynę samą na pastwę ludzkiej obmowy i potępienia. Jeżeli Malwina jak najwidoczniej nie zdawała sobie sprawy z fałszywego kroku na drodze, po której stąpała, jej świętym obowiązkiem było ją na tej drodze zatrzymać i cofnąć ją wstecz ku obowiązkom względem świata, w którym żyła i obracała się.

Z zaparciem się samej siebie, stłumiwszy gniew i oburzenie, jakby nie słyszała cierpkiego wyrzutu siostrzenicy, usiadła ciotka znowu spokojnie na krześle i w tonie łagodnym, w którym niemal prośba i łzy się przebijały, odezwała się do Malwiny.

— Moja droga, niesłusznie mnie posądzasz o zamiar badania cię, lub co gorsza, szpiegowania. Jesteś u siebie w domu panią i możesz robić, co ci się podoba. Jeżeli zwracam uwagę twoją na jaką niestosowność, na krok fałszywy lub błędny, to przecież nie dlatego, ażebym ci dokuczyć miała, ale z czystej ku tobie macierzyńskiej miłości. Matka twoja nieboszczka...

— Ach! — westchnęła Malwina na wspomnienie matki; — gdyby żyła... — i zakryła twarz rękami, rzucając się na kozetkę.

Ciotka, uważając, że o tkliwą strunę Malwiny potrąciła, widziała, że jest na dobrej drodze, po której może trafi do upamiętania siostrzenicy.

— Matka twoja — ciągnęła — nie byłaby dla ciebie lepszą odemnie, i jak matka ci radzę, daj sobie spokój z tym urojonym Albinem. Powtarzam ci raz jeszcze, Malwinko; tylu masz, którzyby cię uszczęśliwić mogli i których ty byś u-

szczęśliwiła, dlaczegoż właśnie ten, który nigdy nie może być twoim. Czyżbyś go istotnie tak silnie kochała? Czyżbyś go w ogóle pokochała?..

— Nie wierzysz cioteczko, — odparła Malwina już spokojniejsza, nie wierzysz, żebym go kochać miała. Być może, i ja w to nie bardzo wierzę, ale czy ty cioteczko nie przypuszczasz, żeby w sercu kobiety inne nad miłość powstać mogło uczucie? — Mówię w sercu kobiety, takiej, jak ja. Tyś nigdy, moja ciociu, nie kochała... ale — dodała namiętnie — nie nienawidziłaś nigdy nikogo w życiu? wszak prawda, cioteczko — i roześmiała się śmiechem piekielnym.

— Nie pojmuję cię Malwino — odparła ciotka ze zdziwieniem. — Za co ty nienawidzieć możesz Albina?

— Za co? — zawołała — kto mi raz wyznał miłość swoją, a wiem, że mnie kochał, ten albo musi być moim, albo niczyim być nie może.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ALFONS DAUDET

TRZY DNI WINOBRANIA.

(Z cyklu: „Les amoureuses).

Spotkałem ją w dzień winobrania,
Już przed wieczornym słońca skłonem...
W krótkiej spódniczce z wrzącem łonem,
Napół bachantka, napół łania.

W uścisku, z okiem rozmarzonem,
Przez pola szła pod Awinionem.
W dzień winobrania.

*

Spotkałem ją w dzień winobrania...
Na mroczną ziemię niebo ziało,
Ogniem... Drżąc, sama szła nieśmiało.
Zda się, łaknąca deszczu kania...
Dreszcz mi dotychczas wstrząsa ciało,
Gdy wspomnę drogą postać białą.
W dzień winobrania.

*

Spotkałem ją w dzień winobrania...
Szła z pogrzebnego jękiem dzwonu...
Przodując żałobnemu gronu,
W trumnie obitej w kir, śród łkania
Sióstr zawodzących Awinionu...

Był to Miłości wraz i Zgonu
Dzień winobrania.

Wł. Nawrocki.

Z BIBLIOGRAFJI BIEŻĄCEJ

Szymon Askenazy: „Z działalności ministra Lubeckiego"

Piętnastolenie dzieje królestwa kongresowego czekają jeszcze swojego historyka. — Tem słusznem spostrzeżeniem rozpoczął autor swoje cenne i niezmiernie ciekawe studjum, działalności ministra Lubeckiego poświęcone. Mniemam wszakże, że dotychczas dzieje Księstwa Warszawskiego, a nawet, ogólniej mówiąc, dzieje nasze w XIX-em stuleciu, w nielepszem są położeniu, i że w niedostatku opracowań możemy się jedynie tem pocieszyć, że i historjografja XIX-go wieku w innych krajach nie stanowi dotąd zamkniętej księgi, lecz znajduje się wszędzie w formacyjnym, czy też w fermentacyjnym okresie. Dość jest przejrzeć prace historyczne Gervinusa Treitschkego, Sybela i porównać je z najnowszą historją dziewiętnastego wieku Sterna, aby się przekonać, że dzieje bieżącego stulecia urabiają się nieustannie, z każdą niemal chwilą, i że wydobyte na jaw nowe źródła wyjaśniają fakta i pogłębiają coraz bardziej historyczne poglądy.

P. Askenazy studjum swoje oparł właśnie na źródłach oryginalnych i dotychczas niespożytkowanych przez naszych historyków. Nic więc dziwnego, że jego badania uzupełniły lub też sprostowały w wielu razach opowieść dziejową, jaką nam o owej dobie podali: Morawski, Szujski i Szmit. Małe królestwo Polskie, oświadcza autor: które Carnotowi gościnnego udzieliło przytułku, które swoim dachem publicznym zasłużyło sobie na aprobatę Lafayeta, swoją armją na podziw Wellingtona, swoją administracją na zazdrość Steina, to państewko znikome, na dwóch tysiącach mil kwadratowych liczące półczwara miljona mieszkańców, bez ujmy dla siebie wytrzymuje porównanie z owoczesnym zachodem Europy, a nawet do przedniejszego miejsca w porównaniu z nim ma prawo.

W owem Królestwie kongresowem żył człowiek niepospolity, który wbrew potężnym i nieprzyjaznym czynnikom, a nawet w jawnej i zaciętej z niemi walce, konsolidację stosunków polsko-rosyjskich obrał sobie za

cel usiłowań. Mężem tym był minister prezydujący w komisji rządowej przychodów i skarbu, książę Ksawery Drucki-Lubecki. Rzadko kiedy o jakimkolwiek tak sprzeczne a skrajne wydawano sądy, jak o nim. Ogłoszony był jednocześnie zdrajcą przez Nowosilcowa i Mochnackiego, a przez jenerała Dembińskiego i admirała Mordwinowa mężem opatrznościowym. W jego administracji jego polityce i jego życiu są niewątpliwie rzeczy godne potępienia, są wybitne braki w jego dużej inteligencji, są wybitniejsze szczerby w jego mocnym charakterze. Z obywatela, z męża stanu, on sam zdegradował się na urzędnika, ale w każdym razie jest do życzenia, aby był sprawiedliwiej niż dotychczas, osądzony. Ma do tego niezaprzeczone prawo, oddał bowiem krajowi pierwszorzędne usługi i w tem, co zrobił dobrego, nikt go nie był dolny zastąpić.

P. Askenazy nie zamierzał bynajmniej napisać bjografji całkowitej Lubeckiego, która musiałaby być historją dwóch trzecich części dziejów Królestwa kongresowego. Z wszechstronnej działalności Lubeckiego, autor chciał tylko przytoczyć niektóre pozytywne szczegóły i w tym celu wybrał pierwszy rok panowania Mikołaja I-go, podając, jedynie dla zrozumia rzeczy, o poprzednich momentach życia Lubeckiego treściwą wiadomość. Z pracy prof. Askenazego dowiadujemy się też, że Lubecki w szeregach armji Suwarowa odbywał kampanję włoską i szwajcarską przeciw Francuzom, że w r. 1813 otrzymał nominację na członka rady najwyższej tymczasowej dla Księstwa Warszawskiego, następnie w roku 1816-tym został członkiem połączonej komisji likwidacyjnej w Warszawie dla ustalenia obrachunków wzajemnych między Rosją, Austrją a Prusami, w r. 1817 zaś prezydującym w specjalnej komisji likwidacyjnej do ustalenia obrachunków wzajemnych między Królestwem a Cesarstwem.

Na kongresie wiedeńskim Księstwo Warszawskie pod względem ekonomicznym i finansowym doszczętnie było złupione przez Prusy. Cesarz Aleksander, pochłonięty nadmiarem spraw ważniejszych, nie miał sposobu wniknąć w szczegóły. Księstwa dotyczące, ale doskonale się znali na tych rzeczach przedstawiciele Prus; operowali też z taką wyjątkową zręcznością, że obłowili się nietylko kosztem bezbronnego Królestwa, lecz nawet kosztem wszechpotężnej Rosji, która losy Prus i Europy trzymała w swoich ręku. Łupiestwo pruskie przybrałoby jednak daleko większe rozmiary, gdyby się do tej sprawy nie wmięszał Lubecki. Wezwany do Akwizgranu przez cesarza, otrzymał do Berlina misję sprawdzenia i naprawy zabagnionej likwidacji z Prusami. Dzięki umiejętności i zręczności Lubeckiego, stanęła konwencja berlińska w r. 1819-ym, której mocą unieważniono umowę z r. 1815-go, uwolniono skarb Królestwa z narzuconych mu kapitałów pruskich i z przyznanego za nie długu 24 miljona, zwolniono z przyznanego dawnego długu 181 miljona i wreszcie zwolniono z grożącego nowego długu czterech miljonów. W zamiam zrzekło się Królestwo Polskie swoich pretensji do Prus za depozyty polskie, po klęsce jenajskiej zrabowane przez rząd pruski i wywiezione do Królewca, oraz za koszta utrzymania wojska francuskiego w obrębie, do Prus wcielonym.

Latem 1821-go r. Lubecki został ministrem skarbu Królestwa. Była to chwila nietylko dla skarbu, ale i dla całego Królestwa bardzo krytyczna, a w pojęciach i w polityce cesarza Aleksandra przełomowa. Przedewszystkiem skarb był ciężko chory. Komisje sejmowe r. 1820-go obliczyły w budżecie r. 1819-go deficyt 20 miljonów i dawały krajowi do wyboru między smutną koniecznością pomnażania długów krajowych a uproszeniem monarchy o udział nadzwyczajnego dla kraju zasiłku. Lubecki odrazu wszelkim tego rodzaju ewentualnościom kres położył; zastał kasy puste, zostawił w nich 20 miljonów; zastał skarb przywalony deficytem, zostawił aktywa 50 miljonów. Gdzie w budowie Królestwa kongresowego był otwarty wyłom najłatwiejszego przystępu, tam w najkrótszym czasie, z największym wysiłkiem, osobistą inicjatywą on stworzył najmocniejszy punkt obronny.

Przedstawiając czytelnikom ministra, autor zapragnął, aby widzieli przed sobą i człowieka. Otóż człowiek ten przedstawiał się następująco: Figura mała, drobna, pękata, w czarnym ubiorze, zaniedbana, o bladej twarzy jakby obrzmiałej, nosa orlego, oczu i włosów czarnych, opadłych na czoło, niedbale przyczesanych i źle kryjących przezierającą już łysinę. Umysł Lubeckiego objawiał dwie cechy górujące: wyjątkowy zmysł praktyczny w połączeniu z wyjątkową zdolnością djalektyczną. Jego pracowitość stała się legendową, chociaż pisał za dużo i co dziwniejsza, za dużo mówił. Zanadto był świadomy swojej przewagi intelektualnej, lubił jej też nadużywać wszędzie i przed każdym: wobec monarchy, w rządzie, w radzie stanu, w sejmie, przed referującym podwładdnym i przed pierwszym lepszym interlokutorem. Z uporem nieprzełamanym łączył wielką pewność siebie, krew zimną, flegmę nadzwyczajną. Były wypadki, w których tracił zdrowy sąd o rzeczach, ale zazwyczaj przytomność umysłu nie opuszczała go w najtrudniejszych chwilach.

Lubecki był nawskróś realistą, dążył też nieustannie do utrwalenia na zdrowych zasadach stosunków ekonomicznych między cesarstwem a królestwem. Podnieść, rozwinąć, udoskonalić przemysł polski, otworzyć mu rynki rosyjskie, a nawet azjatyckie, to był stary przedmiot zabiegów Lubeckiego. W roku 1812 tym wyrobem sukien w Królestwie zajmowało się nie więcej nad 100 warsztatów tkackich, w r. 1829-ym istniało 6.000 warsztatów, wyrabiających 7 miljonów łokci sukna, wartości 49 miljonów złp. W tym czasie podniosły się: Łódź, Zgierz, Ozorków, Tomaszów i Pabjanice, a w nich kupcy rosyjscy po kilka tygodni na towar czekać musieli,

Posłany do Petersburga wraz z delegacją, w celu powitania nowego monarchy, Lubecki spotkał się w stolicy cesarstwa oko w oko z potężnym swym przeciwnikiem hr. Cancrinem, rosyjskim ministrem finansów. Cancrin z Lubeckim nienawidzili się oddawna, a niechęć osobista przyłożyła się do zaostrzenia walki ekonomicznej, wydanej Królestwu. Cancrin z największą bezwzględnością prowadził kampanję. Z jego inspiracji zaczęły się ukazywać petycje kupców i fabrykantów rosyjskich, domagających się obrony od współzawodnictwa polskiego. Mając też za sobą większość rady państwa, Cancrin był pewnym wygranej, gdy tymczasem Lubecki przekonał komitet finansów, że opłakany stan ekonomiczny i finansowy cesarstwa jest skutkiem złej gospodarki i nie może, ani powinien być leczony zabiciem pomyślności ekonomicznej i finansowej Królestwa. Prócz tego Lubecki zdołał pozyskać aprobatę Cesarza Mikołaja i monarcha odmówił stanowczo, swej zgody na zgubne pomysły w jny celnej z Królestwem.

Przewaga, osiągnięta przez Lubeckiego w Petersburgu, umocniła, lecz zgoła nie ułatwiła położenia jego w Warszawie. Tutaj miał do czynienia z W. Ks. Konstantym a stosunki Lubeckiego z naczelnym wodzem nie należały bynajmniej do najlepszych, W pierwotnych intencjach Aleksandra I-go leżało rozgraniczenie sfery wojskowej od cywilnej, ale brakło człowieka, któryby umiał stanąć na straży pierwotnych zamiarów ustawodawcy. Lubecki dopiero skorzystał z pierwszej okazji i otrzymawszy z głównej kwatery pierwsze żądanie nadbudżetowe, wręcz odmówił zapłaty. Wtedy do komisji skarbu zgłosił się jenerał Kuruta z groźbą, iż w razie dalszego oporu każe odbić kasę i wziąść potrzebne pieniądze. Tego tylko czekał Lubecki. Zlecił wydać Kurucie nietylko żądaną sumę, lecz i klucze od kas. Zarazem na ręce ministra sekretarza stanu wysłał do Petersburga raport urzędowy, gdzie sam prosił o dymisję oraz o oddanie go pod sąd za dopuszczoną przez siebie nielegalną wypłatę. Cesarz Aleksander oczywiście dymisji nie przyjął, wydatek zatwierdził, wyjaśniając w reskrypcie, że czyni ten wyjątek po raz ostatni.

Kiedy przyszła do Warszawy wiadomość o zgonie cesarza Aleksandra, Lubecki w mniemaniu ogólnem był zgubiony i jedynie jenerał Kuruta przepowiadał, że pozostanie faworytem nowego monarchy. W dodatku zmarł wkrótce i ks. Zajączek, który był dla Lubeckiego użytecznym pośrednikiem w stosunkach z W. Księciem. Pominąć muszę ciekawą charakterystykę Nowosilcowa, jaką nakreślił prof. Askenazy, a zaznaczę jedynie, że w marcu 1826 r. konsul jeneralny pruski złożył w Warszawie znaczną sumę biletów kasowych byłego Księstwa Warszawskiego, domagając się ich realizacji. Konsula Pruskiego Szmita łączyły najlepsze z Nowosilcowem stosunki, a przedewszystkiem ożywiała ich wspólna do Lubeckiego niechęć. Z tem wszystkiem jednak rząd pruski do wymaganych pieniędzy nie miał żadnego prawa, skonfiskował bowiem bilety w tych departamentach Księstwa, które zajechał znienacka w r. 1815-ym i winien je był zwrócić skarbowi Królestwa. Pomimo, że konsula pruskiego popierał Nowosilcow, Lubecki stoczył z tym ostatnim w radzie administracyjnej formalnie zasadniczy pojedynek, w którym zwyciężył przeciwnika nieprzepartą argumentacją. Rada administracyjna nie śmiała jedynie pójść za radykalnym wnioskiem ministra i skonfiskować albo też nacechować pruskich biletów kasowych. Ostatecznie jednak Lubecki z narażeniem się własnem postawił na swojem, skarbu skrzywdzić nie dał, a w dodatku nadszedł z Petersburga reskrypt do rady administracyjnej, nakazujący „wyrazić w szczególności najwyższe księciu Lubeckiemu ukontentowanie za gorliwe jego starania i niezmordowaną działalność“.

Na tem kończy prof. Askenazy swe ciekawe studjum, obiecując wszakże, gdy się po temu nastręczy sposobność, powrócić jeszcze do tego samego przedmiotu. Jakkolwiek praca autora dała nam dużo nowych i ciekawych szczegółów i rzuciła wiele światła na badaną epokę, uważać jej za wyczerpującą w zupełności ową dobę historyczną nie należy. Sam autor nie ma z pewnością do tego pretensji i w późniejszych pracach uzupełni niezawodnie swe studjum, działalności ministra Lubeckiego poświęcone. Z tem wszystkiem jednak zaznaczyć jeszcze raz należy, że rozprawa prof. Askenazego obdarza nas nowemi źródłami i jest niezmiernie pouczającą; tem samem więc w historjografji naszej XIX-go stulecia pierwszorzędne winna zająć miejsce.

A. Rembowski.

PODRÓŻE.

(ERNEST HELLO).

Dokończenie.

Tak pojęte wykształcenie, dostarczone przez podróż, służy tylko do ożywienia rozmowy głupców, karmiącej się zawsze nieskończonemi powieściami o faktach. Takie wykształcenie, temu, który ma nieszczęście je posiadać, daje smutną władzę przygniecenia swych słuchaczy ciężarem wydarzeń, których on był bohaterem. A jakże często bywa ono źródłem niedorzecznej próżności; bo miłość własna wszędzie znajduje dla siebie odpowiedni pokarm. Niektórzy ludzie szczycą się nieszczęściem, które im się przydarzyło; inni dumni są z nieszczęścia, którego zdołali uniknąć. Są tacy, którzy pełni są dumy z oglądania pięknych widoków i którzy w końcu gotowiby mniemać, że cała natura jest ich dziełem i że chwała jej piękności im prawowicie przynależeć powinna.

Tego rodzaju wykształcenie nietylko bywa źródłem próżności, często staje się też źródłem okrucieństwa. Potrzebuje bowiem słuchaczy, czyli ofiar. Często jest to rzecz prawdziwie okropna mieć do czynienia z człowiekiem, który dużo podróżował.

Jeżeli podróże dają głupcom wykształcenie, powiększające jeszcze ich głupotę, na innych ludzi oddziaływać mogą w sposób wprost przeciwny. Każdy człowiek bowiem wyciąga z faktów i z rzeczy esencję, będącą wytworem nietyle samych faktów i rzeczy, ile własnej jego natury. Owóż różne natury ludzkie w rozmaity sposób ulegają oddziaływaniu wpływów zewnętrznych. To, co wzbogaca jednego, innego doprowadza do ruiny; to, co jest ocaleniem Piotra, staje się zgubą Jana. Wszystko, co się zdarzy głupcowi, pomnaża jego głupstwo; wszystko, co spotka człowieka próżnego, powiększa jego próżność.

Szczególniej podróże przez mnogość i różnorodność swych składowych żywiołów dostarczają wrażeń, przystosowanych, jaknajściślej do odrębnej natury każdej jednostki ludzkiej. Niechaj sto tysięcy ludzi wybierze się w tę samą podróż, żaden z nich nie odbędzie tej samej podróży, co jego najbliższy sąsiad, żaden z nich nie będzie ani widział, ani czuł ani rozumiał, ani szukał, ani znajdował tego samego co inni.

Jeśli razem przybędą na brzeg morza, niektórzy z nich i to najliczniejsi, spuszczą odrazu oczy ku ziemi i będą woleli szukać drobnych muszelek, aniżeli wpatrywać się w bezmierną przestrzeń oceanu. Są oczy i są umysły, które instynk-

łownie odwracają się od oblicza wszelkiej wielkości i znajdują jedynie zadowolenie w widoku rzeczy drobnych, jaknajdrobniejszych, rozpatrywanych poszczególnie.

Są ludzie, którzy źdźbło trawy urywają na pomoc przeciw cedrom Libanu i u kamyka nadbrzeżnego szukają pociechy wobec bezmiarów morza, zamiast te rzeczy wielkie i małe jednym rzutem oka ogarnąć.

Pierwsze spojrzenie tych ludzi poświęcone jest zawsze szczegółom i drobiazgom. Wzrok ich unika przestworów nieba i morza, a szuka mikroskopu, aby badać mech, wyrastający w załomie skały. Taki wzrok przed obliczem genjalnego człowieka będzie rozpatrywał formę jego kapelusza, a w dziełach jego będzie liczył przecinki, w nadziei, że odkryje brak przynajmniej jednego z nich.

Pewną jest rzeczą, że wielkość widzialnej przestrzeni stanowi symboliczne wyobrażenie innego rodzaju wielkości. Widokrąg rozległy, który ogarniamy okiem ze szczytu wyniosłej góry, mówi nam o wyzwoleniu i swobodzie. Stąd pochodzi nasze wzruszenie. Możnaby je nazwać zupełnie bezmyślnem, gdyby wzbudzone zostało tylko przez szeroki obszar widzianej ziemi. Nie jest wszakże takiem, bo wraz z rozszerzającym się przed nami widnokręgiem, rozszerzają się mury naszego więzienia. Stąd radosny nastrój duszy. Jest to radość głęboka, bo jest symboliczna. Stworzeni jesteśmy do rzeczy wielkich, to też dusza nasza rośnie w miarę zwiększenia się przestworów nieba i morza. Ich wielkość sama przez się byłaby niczem; ale mówi nam o innej wielkości — i oto zasługa przestrzeni. Podobnie wiekowe ruiny mówią nam o wieczności — i oto zasługa czasu.

Widnokrąg przypomina nam obszary, niemające granic — i oto zasługa widnokręgu.

Podróż jest wędrówką po przez liczne widnokręgi — i oto znaczenie podróży.

V.

Widnokrąg rzuca na glupstwo ludzkie bardzo wyraźny wyrok potępienia, który pragnąłbym tu wyjaśnić.

Głupcy unikają rzeczy poważnych, z obawy, aby ich nie zmęczyły, tymczasem męczą się okropnie, myśląc o niczem. Zdobywają się chętnie na nieustanne a całkiem bezpłodne wysiłki dlatego tylko, że mają one na celu rzeczy błahe i nic nieznaczące. Gdyby te same wysiłki miały cel wielki, ludzie, których mam na myśli, odwróciliby się od nich z niechęcią, mówiąc: „Co nas to obchodzi?"

Poddają się dobrowolnie cierpieniom i przykrościom okrutnym pod warunkiem, żeby były zarazem bezcelowe i głupie, żeby dotyczyły praw jak najpospolitszych i jak najbanalniejszych; domowych kłótni i swarów, komeraży sąsiedzkich, kwestji mieszkania, godzin obiadowych i wszelkiego rodzaju drobnostek codziennych.

Zwykły filister gotów trudzić się bez miary, byle tylko własny, odpowiednio urządzony lokal, był sceną jego głupich trudów, gotów się na śmierć zamęczyć, byle mógł skonać we własnej sypialni, na własnem wygodnem łóżku. A nie chciałby uczynić dwudziestu kroków, aby komuś oddać małą przysługę lub zrobić cośkolwiek dla jakiejś wielkiej sprawy. Lękałby się utrudzenia, on, który dzień i noc dźwiga ciężkie jarzmo swych własnych przyzwyczajeń i nałogów.

Wobec tego, oto co nam mówi widnokrąg:

Oko ludzkie stworzone jest do przestworzy. Umieśćmy tuż przed niem jakiś przedmiot, nie zobaczy go wcale, nie rozróżni i nie rozpozna. Jeśli przed oknami naszemi na kilka kroków wznosi się mur jednostajny, oko nasze go dostrzeże, ale znuży się prędko; jego działalność jest powstrzymana; widok jest zbyt zaciśniony; organ wzroku nie dosyć ma przestworu.

Jedź na wieś: oko twe odpoczywa, bo widnokrąg się rozszerza i urozmaica mozajką barw rozlicznych. Wejdź na górę wyniosłą: oko twe tem więcej doznaje spoczynku, im rozleglejszy krajobraz przed niem się roztacza. Spojrzyj wreszcie na morze: oko twoje ostatecznie jest uspokojone i jakby oczyszczone, napawa się obszarem bezgranicznym; niebo i morze przynoszą mu spokój.

Oto, co mówi widnokrąg.

Przedmiot tuż blisko przed okiem położony — oślepia je; zbyt bliski — męczy oko; daleki — daje mu spoczynek; bezgraniczny — zachwyca je.

Wzrok fizyczny jest symbolem innego wzroku.

Rozległość widnokręgu daje spojrzeniu piękność, spokój, siłę i czystość.

W. G,

G. VERGA.

TYGRYSICA

Powieść.

(Przekład z włoskiego).

Ciąg dalszy.

Rozdział VI.

Pod koniec marca został La Ferlita przeniesiony jako sekretarz legacyjny do Lizbony. Z tego powodu wydała hrabina dla niego wieczorek pożegnalny, na który zaprosiła wicehrabiego i wicehrabinę de Rancy, Colliego, pana San Damiano, panią Grandi i jeszcze kilka osób. Giorgio wychodził ostatni.

— *Addio!* — rzekła Nata wreszcie, ściskając go za rękę — albo raczej do widzenia, gdyż zobaczymy się jeszcze, wszak prawda?

— Z całą pewnością.

— Ale jak często? — pytała dalej, a jemu wydawało się, że głos jej nabrał jakiegoś innego tonu. — Kiedy pan odjeżdzasz? zapytała jednak natychmiast z właściwym sobie spokojem.

— Za trzy lub cztery dni.

— Portugalja to piękny kraj, będzie się panu podobała.

Stanęli przed oszklonemi drzwiami, prowadzącemi do ogrodu.

Giorgio dał wyraz swemu niezadowoleniu, iż odjeżdżać musi, Nata przyłożyła zmarszczone czoło do szyby i zdawała

go się słuchać. Księżyc rzucał szerokie srebrne smugi przez delikatne cienie sztachet ogrodowych na Viale i bladość hrabiny czynił jeszcze więcej uderzającą.

Gdy Giorgio niespodzianie odwrócił się ku niej, ujrzał dwie wielkie łzy, toczące się powoli po jej policzkach, a widok ten zmieszał go. Wszystko, co minęło, wszystkie przeciwieństwa, dziwactwa i kaprysy tej kobiety stanęły mu nagle przed oczyma i stały mu się jasnemi tą oślepiającą, przelotną jasnością błyskawicy, chociaż twarz jej nabrała znowu tego spokojnego, skamieniałego wyrazu, jaki miała przed chwilą. Kochała go, kocha go jeszcze, aczkolwiek umie zachować zawsze wyraz nieprzenikniony w twarzy.

Te łzy, które płynęły z głębi jej serca i starały się toczyć po marmurze — ileż one musiały kosztować ten kamienny charakter!

— Co pani jest? zapytał Giorgio drżącym głosem, podając jej gwałtownie rękę.

Jak zraniona lwica odwróciła się nagle Nata, nie wydając jednak żadnego głosu i dzikim ruchem wyzwoliła się z jego rąk. Potem nagle otworzyła drzwi i z odkrytą głową wyszła do ogrodu, w zimną noc i łagodne światło księżyca.

— Pan nie pójdzie? zapytała i poszła dalej, gdy Giorgio, nie wiedząc, jaki ma zamiar i co ma myśleć o tem szczególnem stworzeniu, starał się ją zatrzymać. Głos jej brzmiał szorstko, i jakaś gorycz spoczywała w jego tonie.

— Nie chcę, abyś się pani narażała na pewną śmierć!

— A pana to co obchodzi? rzekła, stając nagle i posyłając mu ostre i gniewne spojrzenie.

— Czyż nie uważasz mnie pani za swego przyjaciela? — zapytał Giorgio zmieszany.

— Przyjaciela? Tak, przyjaciela! uważam pana za mego przyjaciela, ale ja mam tylu przyjaciół: San Damiano, Colli, de Rancy, a nie mogę tego ścierpieć, aby moi przyjaciele sprzeciwiali mi się

— Wybacz mi pani; było to po raz pierwszy i zarazem ostatni.

— Ostatni! — odparła, nie zważając na ton jego odpowiedzi, a sama zaczynając niespodziewanie w innym. — Ostatni raz? To brzydkie słowo!. Ale to przecież prawda. Kto wie, czy się jeszcze kiedy zobaczymy, kto wie?

Zadrżała wskutek zimna i zakaszlała lekko.

— Przynieś mi pan raczej szal, jeżeli chcesz pan być tak dobrym. Leży na sofie obok okna.

Gdy Giorgio przyniósł szal i zarzucił jej na ramiona, otuliła się nim silnie.

— Widzisz pan, teraz jestem zupełnie rozsądną, mówiła, patrząc mu z wielką powagą w twarz — i stosuję się wreszcie do rady moich przyjaciół.

Po tych słowach zaczęła się z dumnie w tył odrzuconą głową, blada, zimna i z zaciśniętymi, wskutek ostrego powietrza usty zbliżać do wyjścia ogrodu, a wiatr chwycił jej suknie, tak że te przycisnęły się do jej ciała i powiewały z szelestem rozpostartego żagla.

— *Addio!* powtórzyła, przyszedłszy do sztachet. — Ale zobaczymy się jeszcze po raz ostatni, wszak prawda?

Owładnięty potęgą tego charakteru, uchwycił Giorgio w milczeniu jej rękę i ścisnął ją silnie, nie uważając na to.

— Naprawdę... Czy nie byłoby lepiej, abyśmy już dali pokój z tym ostatnim razem? — zapytał z ściśniętem sercem.

— Dlaczego? — zapytała Nata zupełnie naturalnym tonem.

— Ponieważ popełniam ten błąd, iż kocham panią.

— Pan? — zapytała zdumiona, popatrzywszy nań przez chwilę w milczeniu i wybuchnęła potem śmiechem, śmiechem, który wywołał w nim uczucie, jakby został spoliczkowany. — Pan?... Oh!...

Giorgio szorstkim ruchem puścił jej rękę. Czuł, jak gorąca fala krwi uderza mu do głowy, ale natychmiast i on wybuchnął śmiechem, chociaż z zaciśniętymi zębami.

— Widzi pani, jaki piękny wieczór! — rzekł — Jesteśmy sami, noc, i wśród szelestu liści i w bladem świetle gwiazd z konstelacji kochanków ściskamy sobie ręce. Na ten kwadrans jestem zatem dla pani Romeem, chociażby tylko ze względu na koloryt lokalny. Oh, gdybyś pani mogła widzieć, jak pani pięknie wyglądasz w tem bladem świetle księżyca?

Nata od czasu do czasu wybuchała, jeszcze krótkim, urywanym śmiechem, nie znajdującym się wcale w harmonji z wyrazem jej szeroko otwartych oczu.

— Masz pan słuszność — rzekła wreszcie — ale powiedz mi pan, ile pan posiadasz Julij? Najpierw mnie, potem tę, z którą wtedy jechałeś w alejach, może wicehrabinę de Rancy, a potem... kogo jeszcze?

Giorgio odpowiedział tylko niecierpliwym ruchem ramion.

— Biedny Giorgio! — ciągnęła dalej czułym głosem, ujmując go znowu za rękę — byłam trochę zalotną wobec pana dawniej — bardzo dawno temu! Teraz jednak jestem dla pana dobrą, bardzo dobrą. Ale kochać, bez względu na koloryt lokalny? Nie, nie kochamy się, ani pan mnie, ani ja pana — przynajmniej nie tak, jak pan kochasz swoją piękną z alei. Co się mnie tyczy...

— A więc co się pani tyczy?

— Co się mnie tyczy, to lepiej będzie, gdy pozostaniemy tylko przyjaciółmi, Romeo. Zgadzasz się pan na to? Lepiej dla pana, lepiej dla mnie, lepiej dla wszystkich!

Po tych słowach zaczęła kaszlać na nowo, a Giorgio z czułością pochwycił ją za ramię.

— A więc, usłuchaj pani przyjaciela i wracaj pani do domu. Możesz pani sprowadzić sobie śmierć, pozostając tutaj.

Posłuszna i powolna jak dziecko, pozwoliła się Nata zaprowadzić do pokoju Giorgio rozdmuchał znowu ogień, przysunął fotel do kominka i zmusił ją, aby sobie rozgrzała zimne nóżki. Była blada i od czasu do czasu otulała się w szal, jakby ją przebiegał zimny dreszcz, śmiała się jednak z wielkiego płomienia. La Ferlita nie mówił ani słowa i zdawał się swą rolę przyjaciela brać zupełnie poważnie.

— Mam prośbę do pani — zaczął wreszcie, gdy się cokolwiek rozgrzała, a blask ognia na kominie dodał jej woskowo bladej twarzy pewien odcień barwy — napisz mi pani raz jeszcze te znane słowa: „Kocham pana, odjeżdżam, żegnam“ niejako jako wspomnienie tego ostatniego wieczora, który, odgrywając role Romea i Julji, przeżyliśmy razem.

— To zbyteczne — odparła spokojnie, nie wahając się ani na chwilę i nie patrząc na niego — gdyż już je panu raz napisałam.

— A więc przyznaje pani, że tak było?

— Jeżeliś pan wyrzekł prośbę, aby porównać obydwa charaktery pisma, to chcę panu oszczędzić trudu porównywania, a jeżeli słowa pańskie mają być wyrzutem, to przyjmuję go, nie starając się bynajmniej uniewinniać.

— Ponieważ mnie pani już nie kochasz, przeto nie widzę potrzeby porównywania. Nie skarżę się na nic i nie czynię pani żadnego wyrzutu.

— Sądziłam wtedy, że pana już więcej nie zobaczę i dlatego tak napisałam — dodała Nata po chwili milczenia, zimno i pewnym głosem, patrząc w płomienie.

Giorgio uśmiechnął się.

— Chcesz pan, abym się stała pańską kochanką? — zapytała ostro, ale spokojnie i stanowczo, patrząc mu swym

dzikiem wzrokiem prosto w oczy. — Chcesz pan? — ciągnęła dalej, gdy Giorgio zdumiony nie mógł znaleść słowa odpowiedzi — chcesz pan, abym jutro, dziś wieczorem jeszcze z zimnem wyrachowaniem, nie kochając pana jednakże wcale, oddała się panu? Chcesz pan?

— Jaka z pani kobieta! — zawołał po krótkiem milczeniu.

Nata wybuchnęła fałszywym śmiechem, który przyprawił ją znowu o kaszel i pokrył jej policzki wypiekami.

— Posiadasz pan niezdrową ciekawość, mój przyjacielu. Ja nigdy nie chciałam wiedzieć tak wiele.., i może lepiej uczyniłam.

— A zatem powiem pani, czem jestem — odparł Giorgio. — Jestem głupcem, który panią kocha jak szaleniec, podczas gdy pani śmiejesz mu się prosto w twarz. Przez trzy miesiące kochałem panią, nie wiedząc o tem, nie przeczuwając tego, gdyż wierzyłem święcie, że faza donkiszoterji w mych uczuciach ustąpiła miejsca prawdziwej przyjaźni. — Byłaś pani zupełnie inną kobietą. Nagle namiętność owłada mem sercem jak gorączka, jak szał. Pani słowa, śmiech sarkazm pani smagają mi krew w żyłach i pędzą ją i teraz pojmuję, że można się zastrzelić, aby się wyrwać zzaklęcia zgubnego pani czaru.

Przy tych ostatnich słowach Nata, która dotychczas słuchała Giorgia nieruchoma i nie patrząc na niego, skoczyła i nagle odwróciła się do niego. Była jeszcze bledszą niż przedtem i szeroko rozwarte oczy z dzikiem wyrazem zwróciła na jego twarz.

— I pan... zastrzeliłbyś się... pan?

— Po co? Aby w ten sposób stać się śmiesznym?

— Chcesz pan wiedzieć, cobym o tem pomyślała? Że odebrałeś pan sobie życie z próżności, aby w towarzystwie mówiono o panu, aby dzienniki o panu pisały... Ponieważ jednak mówiłeś pan o miłości, to posłuchaj mnie pan.

Odwróciła się znowu do ognia i była teraz tak blada na twarzy jak statua, prawie zielonawa, jak umarła, a mówiła powoli, silnym, ale bezdźwięcznym głosem i z zamkniętemi oczyma, nie poruszając ani jednym muskułem w twarzy.

— Kochałam... raz.. kiedyś... tego człowieka, którego śmiercią cisnąłeś mi pan teraz w twarz.. kochałam go, jak wy mężczyźni kochać nie umiecie, ja, kobieta bez serca i nie umarłam jak bohaterka na scenie... przynajmniej wtedy nie. Był to na zsyłkę skazany powstaniec, Polak, który nie posiadał nic, prócz swej dubeltówki myśliwskiej. Nienawidził mnie, ponieważ należałam do narodu jego tyranów, do tych, którzy go zesłali na Sybir i kazali osmagać rózgami jego matkę i siostry... Kochałam go ponieważ mnie nienawidził, ponieważ mnie unikał. Pomiędzy nami leżała przepaść, a zawrót głowy rzucił mnie w jego ramiona... Kochasz mnie pan naprawdę, Giorgio? — przerwała, rzuciwszy okiem na Giorgia i spostrzegłszy, że zbladł.

Nie odpowiadając, skinął głową.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości artystyczne i literackie.

Nowa powieść. „Kurjer codzienny“ zapowiada druk nowej powieści Kazimierza Rojana p. t. „Lepsze czasy“.

Opis wystawy malarzy polskich (retrospektywnej) w Warszawie, zamieściło w dodatku ilustrowanym Nowoje Wremja.

Nowe książki. W ostatnich dniach opuściły prasy drukarskie następujące książki: „Zoryan Dołęga Chodakowski, jego życie i praca“ napisał Fr. Rawita-Gawroński. Lwów 1898. — „Adam Mickiewicz, upominek jubileuszowy 1798 — 1898“ skreślił Michał Synoradzki. Z rysunkami. Warszawa 1898. — „Nowe dziedziny widma“ nap. Wiktor Biernacki. Warszawa 1898. — „Ze starego autoramentu, typy i obrazy wołyńskie“ przez Józefa Dunin-Kotwickiego. Warszawa 1898. — „W złocie“ powieść współczesna Stańki. Warszawa 1898.

Panorama Berezyny. Roboty około panoramy Berezyny prowadzone są bardzo energicznie, tak, że w początku wrześn'a będzie napewne otwartą.

Polacy w obcych literaturach. Firma Giarda i Brie e'a w Paryżu puściła w świat broszurę p. Edwarda Abramowskiego p. t. „Le matérialisme historique et le principe du phenomene social“. Praca ta jest dalszym ciągiem wydanej w r. z. rozprawy: „Les bases psychologiques de la sociologie“. — P. M. Downar-Zapolski wydał część I. obszerniejszego dzieła etnograficznego p. n. „Białoruskoje Polesie. Sbornik etnograficzeskich materiałow“ Kijów. — Jeden z najznakomitszych naszych etnografów wydał w języku francuskim bezimiennie zbiór pieśni ludowych pod tyt. „Folklore polonais, folklore de la vallée de Resia“. — Dr. J. Talko Hryncewicz ogłosił w Irkucku w języku rosyjskim rzecz p. t. „Klimat Troichosawska-Kiachty w higieniczeskom otnoszenii“. — P. Jerzy Kurnatowski wydał w Warszawie w języku rosyjskim: „Duel, istoriko dogmaticzeskoje izsliedowanije“.

Polski karykaturzysta. Od dwu miesięcy w czasopismach francuskich Chronik Amusante i Caricature pojawiają się z talentem wykonywane karykatury, podpisane George d'Ostoja. Są to prace naszego rodaka p. Bolesława Soszyńskiego, który wstępnym bojem zdobył sobie pierwszorzędne miejsce wśród licznego grona rysowników paryskich.

Przekłady. „Russkoje ekonomiczeskoje Obozrenje“ (Rosyjski przegląd ekonomiczny, rozpoczął druk przekładu studjum p. t. „Sylwetki przemysłowe“ p. St. Kempnera. Studjum to było ogłoszone popolsku w Bibljotece Warszawskiej. — Pod tytułem: „Das Todtenlied“ praska Politik wydrukowała znaną nowelkę Marji Konopickiej. — „Przegląd literacki“ krakowski donosi, że ks. Józef J. Vejchodsky, proboszcz w Damboricach na Morawie, pracuje nad przekładem dzieła ks. Marjana Morawskiego p. t. „Wieczory nad Lemanem“, a następnie ma zamiar przystąpić do tłómaczenia ks. Z. Chełmickiego „Requiescat in pace.“ Tenże V. Vejchodsky układa obszerny referat z bieżącej polskiej literatury, który ma być umieszczony w poważnym miesięczniku „Hlidka“.

W Bagateli, teatrzyku warszawskim, wystawiono po raz pierwszy 4 aktową sztukę Rostanda p. t. „Królewna z za morza“. Sztuka cieszy się wielkiem powodzeniem.

W sezonie zimowym b. r. śpiewać będzie w operze włoskiej w Petersburgu p. Sembrich-Kochańska, w operze rosyjskiej zaś bracia Reszkowie.

Treść: Adam Krajewski — *Amor vixit* (Nowela — c. d.); Alfons Daudet — *Trzy dni winobrania*; A. Rębowski — *Z bibljografji bieżącej* (Szymon Askenazy: Z działalności ministra Lubeckiego); Ernest Hello — *Podróże*; G. Verga — *Tygrysica* (Powieść — c. d.); *Wiadomości artystyczne i literackie.*